

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Balcerowicz i Saint-Simon

Balcerowicz to duchowy krewny Saint-Simona. Wszystkie funkcje państwowe, sfery społecznego życia podpadają pod jedno kryterium – skuteczności i opłacalności. Recepta saint-simonistów jest prosta: wzrost ekonomiczny, a resztą zajmie się policja

Technokracja to poważne zagrożenie dla zachodnich systemów politycznych, pisał w 1964 roku Jean Meynaud. W książce poświęconej zagadnieniu technokracji – *La Technocratie: mythe ou réalité?* – przestrzegał przed lekceważeniem takiego kształtu rządów, bo zyskuje on sobie coraz więcej zwolenników. Ostrzeżenie sprzed pięćdziesięciu lat zmieniło trochę swój charakter.

Technokracja miała oznaczać wtedy rządy ekspertów, zdolnych do wysunięcia planu – planifikacja była uważana ówczesnie za szczyt racjonalności w życiu państwa – obejmującego większość dziedzin życia gospodarczego i politycznego. Taki był wtedy klimat opinii. Dzisiaj jest inaczej, role ekspertów obsadzają liberalni ekonomiści, którzy w każdym przejawie woli państwa upatrują socjalistycznych przeżytków. U nas tacy eksperci sami wychowywali się na marksizmie-leninizmie, dopiero pobyt zagranicą napoił ich zachwytem wobec kapitalizmu – a jak wiadomo, nic gorszego od neofity. Przemija postać

historyczna, ale ogólne ramy pozostają nietknięte. Ten nieruchomy rdzeń stanowi przekonanie, że polityka jest szkodliwa, że w ogóle najlepiej, gdyby jej nie było. Zamiast polityki – decyzje fachowców.

Pojawienie się idei rządów ekspertów w zachodnim obiegu idei to próba, jak dowodzi Carl Schmitt, demontażu polityczności. Ten demontaż polega na neutralizacji, czyli na unieważnieniu dotychczasowej płaszczyzny sporów, poprzez wytworzenie nowego ośrodka, z którego od teraz będą oceniane wszystkie zagadnienia. Takie przesunięcia od jednego centrum do drugiego następowały już parokrotnie w historii. Teologia, mnożąc kolejne stanowiska, przeciwstawiając sobie pojęcia, doprowadziła do impasu, z którego wyprowadził Zachód dopiero nowy ośrodek emitujący sens – racjonalizm, racjonalistyczna filozofia XVI wieku. Ostatnim punktem krystalizacji pojęć jest, według Schmitta, ekonomia do spółki z techniką. Stąd przeświadczenie technokratów, że polityka, jako walka idei, to dziedzina jałowa; wszystko, co nie jest ekspercką analizą czy rekomendacją, piętnowane jest jako ideologia, a więc jako przeszkoda w racjonalnym kierowaniu życiem społeczeństw. Ich postawa – tego oni nie wiedzą – sama jest z gruntu ideologiczna.

Problem doboru elit przywódczych jest stary jak świat. Pogląd technokratyczny to wariant odpowiedzi na ten problem. Prawomocność władzy danej grupy wypływa tu ze szczególnej wiedzy, jaką członkowie tej grupy mają posiadać. Rewolucja przemysłowa, ogarniająca swoim zasięgiem państwa zachodnie, sprowokowała myśl, że stery nad społeczeństwami powinny przypaść tym, którzy idą na czele zmian odmieniających oblicze świata. Ta idea rodzi się najpierw w głowie Saint-Simona. Proponuje on ustanowić komitet dwunastu uczonych i dziewięciu artystów – rząd europejski – który zapewni, że cały

kontynent wstąpi na drogę postępu. Według Francuza, przemysłowcy to prawdziwa sól ziemi, do tej pory dawali się rabować przez „próżniaków”, przez bezczynnych i biernych. Ludzie interesu budują fortuny, zakładają fabryki, wytwarzają dobrobyt i w ten sposób pchają świat po torze postępu, im w udziale musi przypaść władza polityczna. Należy przerobić system rządzenia w taki sposób, aby prymat powierzyć ekonomii, to ona ma rozstrzygać o kwestiach politycznych, to z jej perspektywy mają zapadać wszystkie decyzje. Balcerowicz to duchowy krewny Saint-Simona. Wszystkie funkcje państwowe, sfery społecznego życia podpadają pod jedno kryterium – skuteczności i opłacalności. Recepta saint-simonistów – wtedy, dwieście lat temu i w latach 90-tych – jest prosta: wzrost ekonomiczny, a resztą zajmie się policja.

Budżet u Saint-Simona będą tworzyć bankierzy; marynarką mają się zajmować ci, którzy dorobili się na handlu morskim. Te propozycje odbijają się w dziejach Zachodu, i w naszych, polskich dziejach, jak echo: właściwie, tak mówią, ministerstwo zdrowia powinno być rządzone przez menedżera. Podobnie ze szkolnictwem: tak, jak zamyka się nierentowne przychodnie, tak powinno się zamykać szkoły, gdzie liczba uczniów jest niska, pozostawić jedynie te, gdzie nauka się opłaca. Edukacja powinna przynieść zysk, a więc należy ograniczyć te wszystkie przedmioty, które nie przyczyniają się do tego, że młodzi ludzie stają się atrakcyjni na rynku pracy. Buchalter uznaje za bezużyteczną historię, język polski albo łacinę; rządy buchaltera nie wyrabiają obywateli, produkują za to konsumentów. Naród nie może jednak składać się z konsumentów; konsumenci to podmiot światowego rynku, ziemia i groby są im zbędne. Myślenie ekonomiczne jest tym, co sprawia, że „wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu”.

Przy Saint-Simonie rósł krytyk jego przekonań, Auguste Comte. Historia idei to spirala: idee krążą i powracają, często w podobnej kolejności. Autor *Cours de philosophie positive* również należał do zwolenników oddania władzy przemysłowcom i bankierom. W jego jednak mniemaniu, ważniejszy od postępu był ład. Porządek jest droższy niż postęp. Tego pierwszego nie można poświęcać dla osiągnięcia drugiego.

Stałą cechą technokracji stanowi przekonanie, że jest to forma rządów demokratycznych. Chociaż władza ma być w rękach wąskiej elity, nie wybieranej przez naród w żadnych wyborach, głosi się, że nie ma tu nic, czego nie dałoby się pogodzić z demokracją. Specjaliści nie ufają ludowi, bo lud nie potrafi podjąć właściwej decyzji; brak mu wiedzy, którą posiadają eksperci. Niekiedy więc wymyśli się technokratom, czego sobie naprawdę życzą: dyktatury, wygaszenia wszystkich sporów i przeprowadzenia reform, na które społeczeństwo nigdy nie wyraziłoby zgody. Taki pomysł świtał w głowach niektórych liberałów, oceniających Polaków jako zbyt ciemnych, by zrozumieć ich propozycje. Ideałem jest zawiesić demokrację i kazać ludowi przecierpieć – w końcu jest nierozgarnięty -, aby potem dostąpić królestwa neoliberalnej szczęśliwości. Kolejna cecha technokratów: nie rozumieją istoty polityki, która polega na osiąganiu celów przy jednoczesnym utrzymywaniu kruchej równowagi pomiędzy różnymi siłami społecznymi. Natężenie napięć społecznych może przekroczyć punkt, poza którym cały system wywraca się do góry nogami – znika polityka, wybucha przemoc. Istnienia tych różnych sił i funkcjonowania grup interesu zwolennicy takiego poglądu nie rozumieją. Kolejna ślepotą tej ideologii: kwestie światopoglądowe z punktu widzenia ekonomii nie istnieją, z punktu widzenia narodu – decydują o jego przyszłości. Są to składniki życia społecznego, których nie sposób wyrugować.

Pomysł, aby rządili nami eksperci, a nie politycy, zyskuje w czasach, gdy demokracja przeniosła się na ekrany telewizorów. Większość społeczeństw zachodnich swój jedyny kontakt z demokracją – nie licząc rytuału, powtarzanego co cztery lata – utrzymuje za pośrednictwem telewizora. Żyjemy, jak mówi Bernard Stiegler, w telekracji. Opinia publiczna stała się widownią. Z odbiorników leje się homogeniczny dyskurs; panuje ideologiczna solidarność, wszędzie dowiadujemy się tego samego, wszędzie słyszymy te same opinie. Dziennikarze i politycy dokonują na sobie pewnej autocenzury; wiedzą, co mogą powiedzieć, a czego nie, jaki temat poruszyć, w jaki sposób go prezentować, a w jaki tego nie robić. Wypowiedzi albo wydarzenia otrzymują rangę od telewizji – temat może być wałkowany w kółko i w oczach widowni uzyskać niesłychaną wagę, choć, w istocie, ma co najwyżej wartość bulwarową (śmierć lady Diany, przekształcona w zbiorową histerię; niedawno, po zamachach w Belgii, pewna telewizja na czerwonym pasku zawiesiła – wielkimi literami – „zamachowiec chodził do katolickiej szkoły”). Hierarchia ważności całkowicie się chybotze, gdy głupkowate wybryki zajmują w przekazie miejsce należne wystąpieniu prezydenta. Wiadomości telewizyjne w dwóch trzecich składają się z obrazu, w jednej z komentarza. To medium wyrabiające polityczne poparcie tym, którzy mają dobre skrojone garnitury i robią sympatyczne miny; w ten sposób polityka ulega zniewieścieniu. Najwybitniejszy polityk ostatniego dwudziestopięciolecia, Jarosław Kaczyński, sromotnie przegrałby w rankingach sympatii z miernotami, które okupują studia telewizyjne z ramienia swoich partii. Na szczęście polityka rozgrywa się poza anteną.

Technokracja zakłada pewien typ polityka. W kontrze trzeba postawić polityka-inteligenta, człowieka o wysokiej kulturze. Powieści Kiplinga o elicie zarządzającej brytyjskim imperium to historie ludzi o

wykształceniu klasycznym; uformował ich Tukidydes i Plutarch, a nie Milton Friedman i muzyka rozrywkowa. Czasy, o których pisał Kipling, odeszły w przeszłość. Jeszcze do połowy wieku niemal całą brytyjską elitę państwową stanowili historycy, filologowie klasyczni i filozofowie. Podobnie było we Francji. Henry Kissinger, uznawany za ostatniego wielkiego dyplomatę (z tej linii co Metternich czy Castlereagh), uważany za wcielenie realizmu politycznego, zaczynał jako historyk idei (pierwszą większą pracę na uniwersytecie poświęcił porównaniu koncepcji Spenglera, Toynbee'ego i Kanta). Profesor Lech Kaczyński, jak wiadomo, wielki erudyta, którego zainteresowania nie kończyły się na dziedzinie prawa, był polskim przedstawicielem tej kategorii mężów stanu. Budżetu nie buduje się tak, jak buduje się samolot. Polityka zagraniczna nie jest zadaniem matematycznym. Polityka to przestrzeń pewnych wartości, której wiedza ekonomistów nie może usunąć. A jeśli nawet – to tylko ze szkodą dla państwa i narodu. Dylemat jest taki: jakich chcemy polityków, jakiej chcemy polityki? Balcerowicz czy Kaczyński?

Krzysztof Tyszka-Drozdowski